№ 45. Warszawa, dnia (24 Października) 5 Listopada 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2 Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3, Na prowincyi mar. 3. pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu i szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz i szpaltowy garmontu kop. 50.



O ubiorach.

1 Listopada 1898 roku.

Moda zimowa, dotycząca okrywek i kostyumów, zupełnie już ustalona. Nie widzimy tylko jeszcze strojnych sukien przeznaczonych na bale i wielkie przyjęcia. Te zostawiamy do przyszłej korespondencyi; dziś rzućmy okiem na nowego rodzaju płaszczyki, żakiety i kostyumy wystawione po głównych magazynach i w zakładach krawieckich.

Tak do okrywek, jak i do sukien przyjęto ogólnie szerokie wolanty *en forme*, krajane okrągło, na przyszyciu całkiem płaskie, niżej spadające rzęsisto. Rękawy obcisłe od samego ramienia zachodzą długo na połowę ręki. Do ozdoby sukien i kostyumów upowszechniły się wązkie na pół cala galoniki, przerabiane kolorowym jedwabiem lub szneląj; naszywają nimi fantastycznie stanik i przód spódniczki.

Okrywki wszystkie, tak długie płaszcze jak krótsze mantyle, przedłużone znacznie z tyłu, zaokrąglone po bokach. Żakiety po większej części długie prawie do kolan—krótkie służą wyłącznie dla młodych osób, i to na dni jesienne. Kołnierze Médicis, mocno do góry podniesione, nie wychodzą z użycia, co przy małych kapelusikach łatwo usprawiedliwić, zwłaszcza, że po skwarnem lecie zapowiadają tu niezwykle ostrą zimę.

Po tych ogólnych uwagach przystąpmy do ciepłych płaszczyków. W magazynie Luwru wystawiono bardzo piękne, odznaczające się nowością; dajemy tu ich opis.

Pierwszy płaszcz długi do ziemi, z ciepłego czarnego szewiotu podbity czarnem futrem. U dołu spada wolant *en forme*, szeroki na pół łokcia, przytwierdzony szeroką pletnią, podszyty materyą czarną. Wolant ten przez zaokrąglone boki ciągnie się z obu stron do samej góry, zwężając się stopniowo; przyszyty gładko, ale skutkiem okrągłego kroju spada wzdłuż przodów w fałdy *en cocquille*. Kołnierz do tego astrachański, okrągły i falisty. Po bokach stanika niema wcale otworów, tylko od spodu małe klapki futrzane dla zabezpieczenia rąk od zimna. Piękny ten płaszcz odznacza się nowością.

Drugi płaszcz w tymże samym rodzaju z sukna w kolorze hawanna, całkiem płaski na ramionach i piersiach, wycięty dokoła w wielkie okrągłe zęby, obłożone astrachańskim barankiem. Z pod tych zębów wybiega szeroki wolant *en forme* tak samo futrem obłożony. U szyi wysoki kołnierz Médicis z odpowiednim obszyciem. Płaszczyk ten podbity pikowanym atłasem, przeznaczony na dni cieplejsze. Pod wolant dany atłas bez waty.

Trzecia okrywka wizytowa, czarna aksamitna, dość krótka, ma formę peleryny z tyłu przedłużonej, podciętej z obu stron po bokach. Wkoło idzie wolant ukośny, objęty szeszyllą, przytwierdzony pasmanteryą z dżetu. W koło szyi dany karczek okrągły, oddzielony takąż pasmanteryą; od tego karczku podnosi się w górę kołnierz Médicis wykrojony w zęby, objęty wązkim paskiem szeszylli. Podbicie z materyi fijołkowej.

Inna okrywka w tymże rodzaju z sukna szafirowego w odcieniu habrowym; długa w tyle, zaokrąglona z przodu, nie ma wolanta, ale szlak zahaftowany czarną szenelą Kołnierz wysoki, objęty futrem kozy mongolskiej. Podbicie z materyi mienionej.

Przejdźmy teraz do żakietów. Zwrócił uwagę naszą długi z ciemno-zielonego sukienka, w plecach wcięty do figury, z przodu cokolwiek luźny. Po bokach naszyty wzdłuż galonik czarny, przerabiany zieloną szenelą. Przody zakładają się nieco, spięte na szmuklerskie baryłki po lewej stronie. Z tejże strony naszyty wpodłuż siwy baranek, wązki na parę cali. W górze odwinięte klapy objęte takimże futerkiem, łączą się z kołnierzem Médicis, sięgającym wysoko na uszy.

Drugi żakiet czarny sukienny, obcisły do figury. Na piersiach naszyta w drabinkę pletnia, zapinana z obu stron na baryłki. Baskina długa zaokrąglona po bokach, z wolantem sukiennym *en forme*. Kołnierz Médicis objęty kozą mongolską. Rękawy wązkie obłożone tymże futerkiem.

Najcieplejszy z tych żakietów cały z astrachańskiego baranka z bardzo krótkim włosem, zwanego *caracul*, poły ma zaokrąglone z przodu. Wkoło idzie wolant *en forme* z wydry australskiej. Podbicie z atłasu pikowanego w kolorze bordeaux.

Zobaczmy teraz śliczne zimowe kostyumy z pracowni pani Elizy Petit (przy ulicy St. Lazare 77). Pierwszy z nich wizytowy z lekkiego czarnego sukienka; zamiast zwykłego podbicia jedwabnego idzie na spód osobna spódnica z materyi *poult de soie*, zakończona plisowanym wolantem, dość sztywnym, dla odsadzenia u dołu sukni. Przez wierzchnią spódnicę, naszyte po bokach dwa wielkie zęby pasmanteryą ze szneli i dżetu, sięgające od góry do ziemi. Stanik ma wypuszczoną w tyle baskinę w rodzaju nafałdowanego fraczka. Ta baskina przytwierdzona do pleców dwoma wielkimi guzikami ze stali z turkusem w pośrodku. Przody stanika otwarte, z osobną baskiną tworzącą rozchodzący się długi bawet spięty w pasie na sprzączkę z dwóch odpowiednich guzów z turkusami. W górze stanika odwinięte klapki, całe naszyte pasmanteryą ze szneli

i dżetów. Plastron do tego niebieski aksamitny, naszyty w arabeski dżetem; u szyi także opaska sięga tylko do boków, ztąd od tyłu stanika przechodzi nafałdowana lekko fryza sukienna, podbita aksamitem niebieskim, a pod to nagarnirowana rzęsisto białą koronką. Rękawy wązkie, na ramionach dane maleńkie bufki, u ręki wygląda z pod spodu aksamit niebieski i koronka.

Drugi kostyum z rypsu granatowego w grube prążki. Spódnica z szerokim wolantem *en forme*; od przodu do boków naszyte długie zęby galonikiem czarnym z zieloną sznelką w środku.

Stanik z baskiną w formie fraczka; przody otwarte z długim, rozchodzącym się bawetem. Dalej od piersi do pasa, rozcięte znowu w podłuż. Pod to idzie plastron marszczony z materyi blado-zielonej, a na nim upięty żabot z białej koronki, odwrócony do tyłu i tworzący rzęsistą fryzę, podniesioną wysokim kołnierzem Médicis; ten kołnierz idzie tylko przez plecy. Rękawy bardzo lekko bufowane w górze, zakończone u ręki koronką. Nad ramionami przechodzi pasmanterya ze szneli i dżetu, w formie paproci. Plastron obciśnięty granatowym paskiem ze stalową klamerką.

Oprócz tych kostyumów, zwrócił uwagę naszą w zakładzie pani Elizy Petit bardzo piękny stanik aksamitny czarny, przeznaczony do jedwabnej spódnicy. Plecy gładkie z baskiną w formie fraczka, z dosyć szerokiemi połami. Przody mocno otwarte, z obu stron otworu idą dwa długie, szpiczasto wycięte bawety. Od ramienia przez piersi ciągnie się haft naszyty palietkami z dżetu; takiż haft zdobi po bokach baskinę. Szeroki otwór zapełnia plastron z białej gazy na białym atłasie, lekko zahaftowany czarnym jedwabiem, zasiany różnokolorowymi kamykami. W tyle stanika do góry idzie klapka kwadratowa aksamitna, podgarnirowana koronką. Poniżej klapki przechodzi gaza połączona z plastronem, w tyle ułożona w wielką kokardę. Rękawy wązkie, zakończone koronką.

Dodajmy nakoniec słówko o kapeluszach. Jak zwykle widzimy trzy ich rodzaje — kapotki dla osób starszych, toczki przeznaczone na wizyty lub do teatru, i okrągłe do wyjścia na ulicę. Wielka w nich rozmaitość, w tem tylko się łączą, że znacznie niższe od zeszłorocznych. U jednych rondo mocno podniesione w górę, u innych spuszczone na na czoło — główka zawsze maleńka. Toczki nabufowane fantastycznie, z czarnego lub kolorowego aksamitu, przepinane szpilkami; pióra strusie stanowią główną ich ozdobę. Okrągłe kapelusiki przyjęte na ulicę ubierają tylko aksamitną kokardą. U kapotek widzimy kwiaty, ale wyłącznie aksamitne.

Seweryna Duchińska.

Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Ciąg dalszy).

— Studentki to zupełnie inna kategorya. To można powiedzieć: śmietanka uniwersyteckiego życia. Tylko że bywa śmietanka i śmietanka. Zdarzy się innym razem, że zbiorą śmietankę z kwaśnego mleka. Ale to rzadko. Ho, ho, studentki! Ja sam był z dwiema na ty a ty — jak brat z siostrami. Uczyłyż się one, uczyły! a biedowałyż, biedowały! Raz, w aprylu miesiącu, jedna umarła. Naprawdę umarła. Przyszli medyki, zrobili sekcyę, a u niej w żołądku nic, tylko herbata. Czyściuteńka herbata — nawet bez cukru. Przez dziesięć dni tę herbatę piła. A taka chytra mała, że o tem nikomu ani słówka nie pisnęła. Przyjechała matka — generalsza, przebogata, w brylantach. Na pogrzeb poszło rubli z pięćset. A książki po nieboszczce my rozkupili na pamiątkę, jak relikwie.

Student rozczochrał rzadką brodę, i zaciągnął się papierosem tak mocno, aż iskry się posypały.

— A druga?.. cóż druga?..—pytała Wanda prędko, z widocznem rozdraźnieniem.

— O! ta druga nie potrzebowała umierać. Jej się powiodło. Zaraz z trzeciego kursu wziął ją sobie za żonę weterynarz jeden. No, i rozbogaciła się ona, potłuściała... Dziś, ot—taka...

Rozłożył szeroko ręce, pokazując obwód jej figury.

Wanda nachmurzona, milcząca, ponuro patrzała w ziemię. Panna Sabina rzuciła zapytanie:

— Opowiadasz nam pan o ofiarach. Ale musiały być i tryumfatorki?

— Były. Ale te fabrykowały się gdzieindziej — w Genewie, w Paryżu... U nas je tylko z grubszego obciosywano, a tam już z nich statui porobili.

— Więc brat wierzysz w intellektualne tryumfy kobiet? — spytała Wanda, zatapiając w twarzy studenta swe czarne, przenikliwe oczy.

— Jakżeby mógł nie wierzyć! Cały świat dziś o tem gada i pisze. Zresztą, jeżeli kobieta potrafi wykręcać na fortepianie muzyczne koziołki, to czemuż nie byłaby zdolna do koziołków matematycznych, filozoficznych lub przyrodniczych? Wszystko to — gimnastyka!

Na polance dały się słyszeć piskliwe tony klarnetu i skrzypiec. Ktoś sprowadził dwóch grajków żydowskich, którzy wykonywali *tremolando* wielce sentymentalnego walca.

W tejże chwili nadbiegł w podskokach prowizor aptekarski w zielonym krawacie.

— W imieniu całego towarzystwa — rzekł cedząc słowa przez zęby—mam honor angażować państwa do tańców, które formują się na trawie...

— Ja nie tańczę — oświadczyła Wanda, wzruszając ramionami.

— Ja mogę się tylko tańcom przypatrywać — rzekła z uprzejmym uśmiechem panna Sabina.

— Więc mnie trzeba tańczyć za nas wszystkich! — zawołał rzeźko Popiołek, pod boki się biorąc. — Chodźmy, panie aptekarzu. Pokażemy filistrom co potrafią intelligenty.

O zachodzie, wesołość i zabawa doszły do największego natężenia. Starzy na równi z młodymi skakali, śpiewali, tańczyli. Jak zawsze, niezależnie od rublowych składek, pojawiły się „suplementa.” Kupiono za nie wina, ciastek i pierników, które przewidujący winiarz i cukiernik trzymali w pogotowiu, na małych wózkach pod lasem.

Dalewicz przebrawszy miarę w jadle i napoju, spał w pozycyi siedzącej, oparty plecami o grubą sosnę. Przedstawiało to dla niego korzyść podwójną: pomagało w trawieniu, i uwalniało od płacenia dodatkowej składki.

Kasyerowa, pomimo odcisku na lewej nodze, poszła w taniec. Tańczyła z podsędkiem, i mrużyła doń oczy na złość podsędkowej. Chciała w ten sposób odemścić się za jej nową suknię.

Popiołek dokazywał cudów, wymyślając figury kontredansowe i mazurowe, jakich jeszcze X. od założenia swego w roku 1129 nigdy nie widziało. Nie czerwony był ale blady; pot ściekał mu po twarzy i brodzie strumieniami, czyniąc go podobnym do wyciągniętego z wody topielca. Ale fantazyi nie tracił. Krzyczał, przyśpiewywał, przypinał łatki „filistrom,” pannom prawił impertynenckie grzeczności, nadstawiał się, szukał zaczepki, wyzywał na pojedynek...

Młodzież była nim zachwycona; panny nie wiedziały, czy gniewać się, czy śmiać. I tylko starzy radcowie spoglądali na studenta z podełba, czyniąc półgłosem niekorzystne dlań uwagi. Jednemu, który był najdostojniej wydęty i najsrożej namarszczony, wyrwało się słowo: nihilista...

Ogólny rozpęd uniósł nawet pannę Sabinę. Grono młodszych i starszych uczennic porwało ją między siebie, i zmusiło do śmiania się, picia wina, grania w gry towarzyskie.

Rozgardyasz ten był w najwyższym stopniu niemiły Wandzie. Gniewał ją, draźnił, prawie o spazmy przyprawiał.

Nienawidziła tłumu pod wszelką postacią. Powtarzała często wyczytane gdzieś zdanie, że tłum nawet z dobrych i rozumnych jednostek złożony, zawsze jest zły i głupi.

Właściwym jej żywiołem była samotność. Lubiła jednak tylko samotność czynną: z książką lub narzędziem naukowem w ręku. Marzeń strzegła się, nazywając je lenistwem ducha. Myśli jej były zawsze sforne i na cugle wzięte; miały cel i formę określoną. I jednym tylko narkotykiem upajała się niekiedy: rozmyślaniem o swej przyszłej chwale.

Korzystając z tego, że się jej osobą niewiele zajmowano, oddaliła się niepostrzeżenie w głąb lasu, chcąc być jaknajdalej od szar-

piących jej nerwy. Idąc wciąż przed siebie, znalazła się wreszcie nad brzegiem małej rzeczułki, której woda ledwie się poruszała wśród gąszcza trzcin i tataraków.

Było tu spokojnie; wrzawa bawiących się prawie wcale nie dochodziła. Czasem tylko jakieś huczniejsze „wiwaaat!” nadleciało z powiewem wiatru i zadziwiło pliszki, które piły z rzeczułki, zadzierając dzióbki wysoko. Zresztą słychać było tylko brzęk komarów, plusk ryb i stłumione piszczenie ptaków, zabierających się do spania.

Niebo było u góry złote, niżej mieniło się barwą oliwną, która ku dołowi przechodziła w prześliczny kolor różowy. Samego słońca nie było widać; zakrywała je kępa drzew, stojąca po tamtej stronie rzeczki. Tylko szczeliny pomiędzy pniami, niby wyłomy w murze fortecznym, płonęły gorącą, krwawą czerwienią.

Wanda usiadła na wielkim kamieniu, i zatonęła najpierw oczami, potem duszą w pięknościach czarownego schyłku dnia. Działał on na nią kojąco i krzepiąco. Choć nie nawykła do troszczenia się o innych, myślała jednak z żalem o ludziach, co nie wiedzą, gdzie szukać prawdziwego piękna i szczerej uciechy. Tłum, który zostawiła za sobą, zamiast poić się w milczeniu wspaniałym obrazem gasnącego słońca, wolał profanować go skokami i krzykami godniejszymi zwierząt niż ludzi.

Ale co jej tam do tego tłumu! Alboż łączy ją z nim choć jedna wspólna myśl, choć jedno wspólne upodobanie?

Zajęła się sobą, swemi osobistemi uczuciami i sprawami. Nie mogła dotąd otrząsnąć się z wrażenia, jakie na niej sprawiło opowiadanie Popiołka. Po raz pierwszy ujrzała, że droga, na którą zamierzyła wejść, jest — ciernista.

Kto wie, czy i jej nie wypadnie iść do celu przebojem, pojąc się goryczami, doświadczając bólów i upokorzeń? Któż zgadnie, czy i jej nie sądzono paść na połowie drogi i przedwczesną, męczeńską śmiercią przypłacić zbyt śmiałe porywy?

Mignął jej przed oczyma: biedny pokoik na poddaszu, zarzucony książkami, bez rolety i firanek, z niemytą podłogą, z tapczanem zarzuconym słomą, z kulawym stołem, na którym stała szklanka herbaty—*nawet bez cukru*. W pokoiku tym...

Wzdrygnęła się. Mimo gorąca, dreszcz ją zimny przeszedł. Zasłoniła oczy ręką, broniąc się przed strasznem widzeniem.

W tej chwili usłyszała chrzęst łamiących się pod czyjąś stopą gałązek.

Obejrzała się. Stał za nią zmięszany, zapłoniony Kazimierz, i drżącym głosem szeptał:

— Przepraszam...

Szczerze była rada przybyszowi. Ukazanie się jego odegnało przykre majaki, i przywróciło pamięć obecności.

Nie widziała nic dziwnego w pojawieniu się młodzieńca w tej chwili i na tem miejscu. Wyciągnęła doń rękę z tą samą życzliwą poufałością, z jaką przywykła to czynić w domu rodziców lub w mieszkaniu jego siostry.

Życzliwą była mu zawsze. Choć o lat dziesięć starszy, przyjmował udział we wszystkich jej dziecinnych zabawach. On jej dostarczał książek, których brakło w bibliotecze siostry; on, z oględnością braterską odsłaniał przed nią życie praktyczne; od niego wreszcie brała lekcye łaciny i greczyzny, wiedząc, że się jej w dalszych studyach przydadzą.

Prawda, że w poglądach na wiele rzeczy bardzo się różnili, ale to harmonii między niemi nie psuło. Kazimierza więcej pociągała literatura i sztuki piękne, Wanda miała zamiłowanie w naukach ścisłych. Budziły się niekiedy to w nim, to w niej instynkta misyonarskie, i chcieli się wzajem nawracać. On dowodził wyższości „żywej” poezyi nad „martwą” wiedzą, ona wykazywała mu „fałsze” tkwiące w dziełach poetów i artystów, i dowodziła, że w dziedzinie myśli ludzkiej, to tylko ma wartość, co się przez „a+b” da dowieść. Przekonali się jednak wkrótce, że te nawracania skutku żadnego nie biorą i—dali im pokój.

Stosunek, który ich łączył, był przez długi czas przyjacielski i koleżeński. Zdarzało się niekiedy, że w zapale dysputy mówili sobie po imieniu jak brat i siostra. On pierwszy błąd spostrzegał i przepraszał; ona nie widziała w tem nic dziwnego ani obrażającego.

Od pewnego czasu w stosunku tym zaszła zmiana, dla Wandy niepojęta. Kazimierz począł bywać w obecności jej sztywnym i małomównym. Dawną swobodę zastąpiła przykra dla obojga wymuszoność. Wanda przyszła do wniosku, że Kazimierz gniewa się na nią. Ale za co?..

Jednak, gdy teraz, ruchem przyjaznym, jak za dawnych czasów, rękę do niego wyciągnęła, uścisnął ją serdecznie.

— Chwała Bogu!—pomyślała—już go gniewominął...

A głośno rzekła:

— Cóż to? i pan się nie bawisz?

— Nie do zabawy mi! — mruknął przez zęby.

Chciała mu spojrzeć w oczy, ale on w ziemię je spuścił. Pomięszany był, wzburzony, drżący. Przypomniała sobie, że takim widziała go już od początku zabawy. Ale teraz ją dopiero to zastanowiło.

— Co panu jest, panie Kazimierzu — spytała.

Nie było w jej głosie miękkiej czułości, ale było szczere zainteresowanie się.

Kazimierz nie odpowiedział. Znać było po nim, że z wysiłkiem stara się opanować wzruszenie. Wreszcie rzekł, oczu nie podnosząc:

— Ja tu umyślnie za panią przyszedłem.

— Jaki pan dobry! Odgadł pan, że mnie dręczą śmiertelne nudy.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Sprawozdania literackie.

G. Hauptmann: Dzwon zatopiony — Baśń dramatyczna, przekład J. Kasprowicza.

(Dokończenie).

Bohater poematu, Henryk, odlewacz dzwonów, to „jeniec ideału” postać zbliżona do Ibsenowskiego *budowniczego Solnessa*. Pomiędzy dwoma temi kreacyami możnaby znaleźć tysiączne analogie. Nie będziemy jednak wdawać się tu w porównania. Spieszno nam bowiem zapoznać czytelników z całością poematu. Oto treść baśni wzięta wprost bez symbolicznego pogłębienia.

Mistrz Henryk, który ze sto świątyń chrześciańskich przyozdobił dzwonami, stworzył nowe arcydzieło swego kunsztu. Arcydziełem tem ozdobi on świątynię, gdzieś w górach dzikich wzniesioną. Zasłyszały o tem pogańskie bóstwa, wypłoszone z dolin dźwiękami chrześciańskich dzwonów, i gniewem zawrzały. Łoskot dzwonów zabija duchy ziemne, wodne i leśne, chochliki, sylfy, bogunki. Więc rogaty duch leśny, Kozodój postanowił zniszczyć to dzieło rąk ludzkich. Niewidzialny stanął na moście, i uchwyciwszy za koło u wozu, na którym wieziono dzwon, wóz wywrócił, i twór mistrza Henryka zrzucił w przepaści wodne. Sam Henryk spadł ze skały i poraniony, zbolały, coraz bardziej tracąc siły, błądził po dzikiej krainie zaludnionej przez wrogie istoty napoły ziemskiej, zwierzęcej, napoły boskiej natury. Wreszcie przed chatą czarownicy Baby-Jagi pada zemdlony. Umierającemu niesie pomoc Rusałka, nieznanych rodziców dziecię, wychowane przez czarownicę.

Rusałka pokochała człowieka, on poznał w niej istotę, za którą tęsknił oddawna. Po Henryka przychodzą towarzysze, którzy wraz z nim wyprawę w góry przedsięwzięli, ksiądz, nauczyciel, balwierz. Zabierają oni wracającego do życia, i na widok Rusałki wpadającego w ekstazę mistrza. Ale Rusałka zakreśliła już dokoła niego zaczarowane koło. On do niej powróci! Zbolały na duszy i ciele, konający prawie, powraca Henryk w progi domowe. Napróżno żona zaklęciami miłości stara się obudzić w nim chęć do życia. Henryk chce umrzeć, chce, bo zrozumiał teraz, że dzwon zatopiony nie był arcydziełem, o jakiem marzył, czuje, że już nigdy nic większego stworzyć nie będzie w stanie. Żona odchodzi by sprowadzić cudowną lekarkę, a w tej chwili zjawia się Rusałka w postaci górskiego dziewczęcia, które przyniosło do miasta jagody. Rusałka budzi zemdlonego, czarami przyprowadza go do życia, w pierś wlewa mu nowe siły, młodzieńczą chęć życia.

Henryk odmłodzony, z duszą potęgi twórczej pełną, za ukochaną Rusałką uchodzi w góry. Tam ona otwiera przed nim podwoje tajemniczego świata duchów, tam gnomy i karły są na jego rozkazy. Rozkopują

góry, dobywają kruszce. Henryk leje dzwon nowy, dzwon o stokroć piękniejszym, potężniejszym dźwięku niż tamte wszystkie, które dawniej na wieżycach kościołów zawieszał. Żyje pełnem, potężnem życiem. Pochłania go praca i miłość. A z nizin tymczasem wznosić się zaczynają głosy oburzenia. Mistrz Henryk porzucił żonę i dzieci dla dyablicy jakiejś, z siłami nieczystemi wszedł w przymierze. Przybywa ksiądz by wybadać i nawrócić grzesznika, ale Henryk nie da się przekonać. On pracuje nad ulaniem dzwonu grającego, który ludzkości śpiewać będzie pieśń zapomnianą i przebrzmiałą „pieśń stron ojczystych, kołysankę lubą, z baśni głębokich zaczerpniętą źródeł, wszystkim tak znaną a nie wysłuchaną.. Od dźwięku tego pękną lody piersi ludzkich, złość i ból we łzach stopnieją gorących.

Ksiądz uważa te pokuszenia mistrza za obłęd grzeszny, przypomina mu obowiązki rodziny, grozi wreszcie gniewem obrażonego społeczeństwa. Te groźby utwierdzają Henryka w przeświadczeniu, że idzie drogą słuszności i prawdy. Ksiądz odchodzi z przepowiednią, że ów zatopiony dzwon, którego wyparł się mistrz, zadzwoni kiedyś, a wtedy Henryk pożałuje uporu swego.

Niebezpieczeństwa gromadzą się ze wszystkich stron. Gnomy, duchy wód i gór z niechęcią znoszą panowanie człowieka. Wodnik, zazdrosny o Rusałkę, straszy go podobną jak ksiądz wróżbą:

W głębinach jeziora dzwon leży na dnie,
w żwir, w głazy zaryty,
i rwie się w niebieskie błękity,
ku gwiazdom, ku słońcu się rwie!
Rybkami zalewa go fala,
lecz moja najmłodsza córeczka-pieszczocha
trwożliwie okrąża go zdala,
i nieraz rozwiawszy zielone swe włosy,
wsłuchana w dzwonu odgłosy,
jęczy na głębiach i szlocha,
bo z dzwonu płynie tak dziwny zew
jakby dzwon w ustach miał krew...

. . . .

I rusza się na dnie, podnosi się dzwon,
O biadać, gdy jego znów usłyszysz ton!

Tłum ludzi wdziera się na szczyt, gdzie mistrza siedziba, by pomścić zgwałconą powagę swych praw. Ale przy pomocy Rusałki i ulegających jej duchów, Henryk z łatwością odpiera ich napad. Upojonemu zwycięztwem zagraża teraz niebezpieczeństwo innej natury. Z mgły, która przed oczyma jego zasłania doliny ziemskie, wysuwają się dwie drobniutkie postacie, a jednocześnie słychać oddalony dźwięk dzwonu. Rusałka nie słyszy tych tonów, nie widzi by kto wspinał się pod górę. Ale Henryk widzi — to dwaj jego malutcy synkowie dźwigając dzbanek jakiś z wysiłkiem dążą ku niemu. Już są.

Pierwsze chłopię głosem zamierającym.
Matka najdroższa pozdrowić cię każe.

Henryk.
Dzięki, mój chłopcze luby! Ma się dobrze?

Pierwsze chłopię—powoli i smutno.
Tak, ma się dobrze.

Spoczywa tam, gdzie róże wodne, a chłopcy w dzbanuszkach przynieśli ojcu jej łzy. Coraz głośniejszy, coraz bardziej głuchy słychać jęk dzwonu.

I Henryk w żalu odtrąca od siebie, przeklina ukochaną Rusałkę. W akcie piątym raz jeszcze zchodzą się ze sobą. Ale Rusałka jest już żoną Wodnika (gdyby to nie była baśń, powiedzielibyśmy, że rzuciła się do studni), a Henryk kończy poemat życia. Prześliczną jest smutna piosenka opuszczonej, na dno studni zepchniętej Rusałki, prześliczną scena spotkania z Henrykiem i pojednania w... śmierci.

Taką jest fabuła, ale fabuła to tylko ciało poematu; tchem ożywiającym go jest symbol. Dosyć mglista symbolika „Dzwonu" dostarczy zapewne krytykom sposobności do rzucenia światu tysiąca komentarzy, do stoczenia gorących polemik. Utwór tego rodzaju można zawsze pojmować rozmaicie. Nam myśl utworu Hauptmanna przedstawia się jak następuje:

W postać Henryka wcielił poeta nieprzezwyciężoną tęsknotę ducha ludzkiego do ideału. Ten marzyciel, poeta czynu, pragnie uszczęśliwić ludzkość, pragnie dać jej coś, coby silniej jeszcze niż dzwon chrześcijański przemawiało do jej uczuć i ducha.

W walce nadludzkiej Henryk upada i ginie. Rusałka, to upostaciowanie poezyi, poezyi pierwotnej, baśni. Henryk przy pierwszem spotkaniu mówi do niej: „ja ciebie gdzieś już widziałem... Ale gdzie? o ciebiem walczył, o ciebie służyłem... jak długo? Głos twój pragnąłem zakląć w kruszec dzwonu, pragnąłem z złotem słonecznego świata głos ten skojarzyć..." a potem: „Pięknie jest tutaj!.. Dziwne, pełne szumy! Tak zagadkowo ruszają się ciemne ramiona sosen, ach, tak uroczyście chwieją czołami! Baśń! o baśń to wionie, wionie tym lasem... ty jesteś tą baśnią! Baśni! pocałuj mnie!" W baśni szuka on tego pierwiastku, który ziemię z niebem ma połączyć, przybliżyć dla niej panowanie słońca.

W poemacie Hauptmanna trzy siły ścierają się ze sobą, trzy światy walczą: zwyciężony już a jednak żyjący, napoły zwierzęcy świat pojęć pogańskich—opromieniony urokiem baśni, tryumfujący, w uczuciu potężną znajdujący broń chrystyanizm, którego dzwon zatopiony jest symbolem, i ten przyszły jakiś ideał ludzkości, który Henryk usiłował wywieść ze starych umarłych mytów i wskrzeszony, odmłodzony oddać ludzkości. Dzwon chrześcijański, podług niego, „w dolinie dźwięczy, nie w górach..." „nie byłby dzwon ten budził ech po wirchach." Wyżynom duchowym czego innego potrzeba. Ten, który powstać miał w tajemniczej kuźnicy, mógłby dopiero zadowolnić pragnienia najgłębsze ludzkości. „Żaden tum jeszcze nie miał w swej dzwonnicy dzwonu o takiej wszechpotędze dźwięku, równającego się pramocą swoją grzmotom wiosennym, które butnym rykiem wstrząsają przestwór ponad pól zieleniąˮ on „do zamilknięcia zmusi dzwony wszystkich, wszystkich kościołów, i potem w tryumfu ton uderzywszy, niech obwieszcza światu, że się dlań nowe narodziło światło."

Poemat Hauptmanna kończy się klęską tego ideału, w którym niektórzy nie bez słuszności poznają walczący o władzę nad umysłami okkultyzm, ale zarazem wróżbą „Nadchodzi słońce... noc jest długa..."

Gdyby mnie spytano o zarzuty, jakie pod względem artystycznym postawićby można pięknemu utworowi Hauptmanna, powiedziałabym, że przeładowanie symbolami zaciemnia częstokroć myśl, i piękności poematu mgłą gęstą przesłania. W niektórych miejscach, zwłaszcza w scenach bóstw wodnych leśnych i t. d. niemile sprawia wrażenie stosowanie maniery szekspirowskiej, polegające na wplataniu w tok poetycznej powieści obrazów i wyrażeń wstrętnych poprostu. Ale to są dysonanse drobne, o których zapomina się słuchając oryginalnej, smutnej, echowej i zaświatowej zarazem melodyi poematu.

H. C.

Z PRASY.

Dowiadujemy się z pism zagranicznych, że jednym z owoców odbytego świeżo w Lizbonie kongresu prasy europejskiej, ma być otwarcie w Paryżu szkoły dziennikarstwa. Zakład ten, który nie wiemy czy nazwać wypadnie naukowym, czy handlowym, mieścić się będzie w gmachu należącym do wydawnictwa paryzkiego „Figaro," co nam nasuwa na myśl przypuszczenie, że mógłby się on nazywać i prestidigitatorskim także, i bodaj czy nazwa taka nie byłaby dlań najodpowiedniejszą. Upoważnia do tego wniosku zresztą zupełnie wiadomość objaśniająca, że lokal odstępuje „Figaro" bezinteresownie, że te kursa osobliwe będą bezpłatne, a kierownikiem ich będzie jeden z redaktorów tego pisma.

A więc wielka akademia blagi i wielka fabryka t. zw. opinii bierze na siebie inicyatywę w tej sprawie, idzie tylko o to, jak się na to otrąbione i obębnione na wsze strony, dzieło postępu zapatrywać będzie ogół, i do jakiego stopnia pojmie on odrazu, że nie może być w tej robocie nic, coby się na pożytek czytającego obrócić mogło. Że jeśli kto osiągnąć może z podobnych zakładów korzyści, to tylko redakcye czyli kierownicy pojedynczych działów gazety, którym nieudolna i nieoryentująca się dzisiejsza reporterya utrudnia często ich zadanie. Gdyby też powiedziane było w założeniu, że otwierająca się szkoła będzie szkołą reporterów, nie objaśnialibyśmy bynajmniej faktu, bo niema w nim w istocie nic takiego, coby na szczególną uwagę zasługiwało. Reporter jednakże a dziennikarz to wcale nie jeden i ten sam człowiek. Pierwszy, przypuszczamy, że może być jak należy wytresowanym w zakładzie p. Vilmessant, drugiego przysposobić musi szkoła, uniwersytet, a wyrabia życie i służba publiczna. Nielitościwie też mylą się ci wszyscy, którzy starają się wmówić w ogół, że byle kapitał, reporterya i jakiś ekwilibrysta nakręcający tę maszynę z myślą pozyskania najwyższej prenumeraty, to już będzie i pismo. Wielka

pomyłka, która przyczyniła już dotąd wiele zawodów dwustronnych, i wielu jeszcze pewnie źródłem się stanie w przyszłości. Pismo o tyle, o ile to dotyczy części jego literackiej i artystycznej stało i stoi na literatach i artystach, a w tem co stanowi jego podstawę informacyjną i kierunek, gruntować się ono musi na przekonaniach — nie interesach, na zasadzie — a nie względach osobistych. Ci, którzy lekceważą tę część pierwszą, a dla interesów kłamać gotowi we wszystkiem co wchodzi w zakres drugiej, na stosunek trwały z czytelnikiem liczyć nigdy nie mogą, i na tego rodzaju kłopoty, gdy się one zjawią, żadna im reporterya udoskonalona nie zaradzi z pewnością. Zresztą porzuciwszy pisma codzienne na gruncie francuzkim, przypatrzmy się, w jaki też to sposób regulują się u nas takie sprawy z polskiemi a tygodniowemi.

Ze spraw takich miarodajnym wydaje nam się fakt, że tygodnik „Życie" pod drugą już redakcyą dokonywa swego chwilowego żywota, a obecnie zabiera mu się na trzecie wcielenie. Odtąd jednak nie raz w tydzień, ale raz na dwa tygodnie tylko ukazywać się on ma, i to poczynając już od 15-go bieżącego miesiąca i roku. Barwa tego pisma znowu zmienić się powinna, albowiem kierownictwo jego obejmuje p. Stanisław Przybyszewski, stale zamieszkały obecnie w Krakowie. Że Przybyszewski jest bardzo wybitnym talentem twórczym, o tem chyba dwóch zdań być nie może, ale czy wyłączny kierunek w literaturze, który on uprawia, daje pomyślne wróżby dla przyszłego rozwoju pisma, o tem wątpi wielu ludzi, znających i tego autora i upodobania czytającej publiczności Galicyjskiej. Wogóle ustaliło się tu mniemanie, że Galicya jest tak lichym na wydawnictwo illustrowane odbiorcą, iż żaden tygodnik obrazkowy, a choćby i nieobrazkowy, ale czysto literackiej i artystycznej treści, utrzymać się tutaj niezdoła. Takie opinje rozpowszechnieją dziennikarze Krakowscy sami, takie horoskopy stawiają korespondenci dla każdego pisma tego typu, któreby zamierzyło wegetować na Krakowskim i Galicyjskim gruncie.

Bez myśli wnoszenia tutaj jakiejkolwiek obrony na korzyść Galicyi, wyznamy szczerze, że nam się sąd tak bezwzględny słusznym nie wydaje wcale. Opieramy to przekonanie nasze na tem, że przed laty trzydziestu kilku, a zatem w czasie, gdy o wiele mniejszą była poczytność w Galicyi jak dzisiaj, „Dziennik Literacki" pod kierunkiem Józefa Szujskiego i Juljusza Starkla cieszył się wielką poczytnością i wysokiem całej czytającej inteligencyi uznaniem, a to dla tej najprostszej i jedynej przyczyny, iż był pismem tygodniowem najlepszem, jakie mieliśmy kiedykolwiek.

Starajcie się panowie szanowni, którzy redakcyę pism bierzecie na siebie, lepiej odgadywać upodobania czytającej publiczności, jej umiłowania, ideały, a mniej sobie zadajcie fatygi, żeby jej wmawiać uwidzenia i ekscentryczności własne. Nie poniewierajcie zasad, których bądź co bądź ogół trzyma się dotąd, i długo jeszcze trzymać będzie, a przynajmniej nie napadajcie na nie w każdym numerze. Zamiast przekonywania tego ogółu, że to, co było, skończyło się nieodwolnie, a wy stanowicie początek czegoś, czego naprawdę ani nazwać, ani scharakteryzować nie umiecie sami—zróbcie tamto pierwsze, zapomnijcie o drugiem, a z pewnością owa poczytność tak upragniona, przedstawi się wam odrazu w mniej posępnych barwach, niż to ma miejsce obecnie.

K.

Utwory Powieściowe

Stefana Żeromskiego.

1898.

SPRAWOZDANIE.

(Dokończenie.)

Żadnemu z autorów nie odważylibyśmy się imputować założeń i udowadniać, że ta a nie inna myśl przewodnia z utworu jego prześwieca. Tem mniej zasługujemy na posądzenia tego rodzaju, gdy idzie o pisarza tej miary—tak potężnego natchnienia, jakiem celuje Żeromski. Nam idzie zawsze, a więc i w danym wypadku o to jedynie, w jaki sposób oddziaływa na umysły ludzkie rzecz napisana—co ztamtąd wchłania w siebie dusza przeciętnego oświeceńszego czytelnika, a więc—czem się świadomie lub bezwiednie podzielił z nią autor. Że emanacya taka o tyle możliwsza i o tyle potężniejsza im talent wybitniejszy — zaledwie warto byłoby wspominać w tem miejscu. Otóż co się tyczy konkluzyi, to prawie niechybnem jest wrażenie, jakoby w goryczy swojej wołał tutaj autor: Oto macie wartość trudów i zachodów ludzkich—oto macie mściwą dłoń stworzenia i to, co ono zrobić może z człowieka! Taki bohater obowiązku, jak nagrodzonym zostaje za ofiarność swoją; takiego wybrańca jak poniży choroba i cierpienie.

O nagrodach i karach—o losach złych i dobrych nie mówmy tutaj wcale; mówmy natomiast o człowieku, i o tem co stanowi jego odporność na cierpienie. Jakąkolwiek będzie tego ostatniego potęga, nie jest ona jednakże tak wszechwładną, żeby mogła zrobić z wyrozumiałego człowieka krzywdziciela srogiego—z człowieka dobrego, jakiegoś psa kąsającego rękę która go opatruje—z istoty uspołecznionej barbarzyńcę—z ojca rodziny, myśliciela i filantropa, oszalałego dzikusa.

Takiej wszechmocy nie ma cierpienie, ale że skłonni byli i są do takich buntów i obłąkań w chwilach przeciwności ludzie pyszni a mali, to fakt. Gdyby to był mąż i ojciec ów doktór, to będąc lekarzem, nie byłby przedewszystkiem dopuścił zbliżenia się rodziny, skoro wiedział, czem zagraża jego choroba. Gdyby miał na dnie duszy odrobinę chociażby uczucia ludzkości, nie byłby rynsztoka obelg wylewał co chwila na głowę kobiety, o której dobrze wiedział jednocześnie, że jej chorobę swoją zaszczepia, bo że wiedział, to wątpliwości nie podlega przecież. Mógł się nie poznać na niej u tamtego biedaka, ale teraz powiedzieli mu to już nawet i koledzy jego. To nie była wcale wielkość żadna ten pan Poziemski, to była owszem średniość zupełna w togę przybrana, to taki sobie przeciętny społeczny pan, którego do łoża cierpiących popycha w najlepszym razie słowo honoru, dane fakultetowi przy dyplomie. Jak widzimy nie zupełnie wystarcza takie słowo.

Wszystkim natrętnikom stojącym w charakterze niecierpliwych wierzycieli u wrót sprawiedliwości, odpowiedział raz na zawsze Alfons Karr swoją niezapomnianą a pełną prawdy i dowcipu sentencyą: *Pan Bóg płaci, ale nie co Sobota.* Jakoż nie byłoby nic dogodniejszego jak takie: *do ut des*; nie byłoby rozumniejszej spekulacyi, jak mnożyć ofiary i poświęcenia, skoroby likwidacya doraźna po nich miała być niechybną i bezzawodną. Temu jednak, który wychodzi z założeń wyższych, inaczej się ich niepojęty często rozdział i szafunek przedstawia.

Inna rzecz jest być w życiu tak zwanym człowiekiem porządnym, a inna ofiarnikiem czy bohaterem. Ludzie porządni spełniają obowiązki, i są za to nagradzani ufnością i szacunkiem ludzkim — czyja dusza powołaną się czuje do ofiar i poświęceń, ten się w granicach obowiązku nie zamyka, tem mniej zapytuje człowiek taki o sądy i oceny ludzkie; myśl o renumeracyach i korzyściach obcą bywa dlań zupełnie, a o tem, żeby wpadłszy pod koła, wobec śmierci miotał się jak opętaniec, mowy nawet być nie może. Ztąd człowiek karyery i ofiarnik, żołnierz i rycerz, lekarz i przyjaciel ludzkości, nie są bynajmniej pojęciami jednoznacznemi, tak samo jak odmienną z natury rzeczy musi być działalność człowieka, który oddaje życie bezwzględnie na pożytek ludziom, i takiego, który po spełnieniu obowiązków radby je koniecznie wynieść nienaruszone.

Wogóle niedobrze jest zbyt lękliwie omijać podkład chrześcijański przy kreśleniu obrazów szczytnego poświęcenia i heroizmu jakiegokolwiek, bo praktyka życia poucza nas, że wielkich abnegacyj trudno było dotąd zlaicyzować światu.

Że łatwiej jest umrzeć odrazu niż powolnie, nikt nie wątpi, ale niema chyba dyskusyi na temat, czy sposób w jaki się mamy rozstawać z życiem należy do nas, i czy nam służy prawo wyboru naszej ostatniej godziny — tem mniej zaś onego targu co do ceny, jakiej pod postacią pomyślności w życiu, żądamy wzamian za nasze trudy i ofiary.

Ciekaweby też było wiedzieć, jak umierał na barłogu swoim tamten, który odzierał konie; pomimo, że nie idealizujemy nigdy prostactwa i ciemnoty jako takiej, skłonni bylibyśmy uwierzyć, że więcej było człowieczeństwa w jego chwilach ostatnich.

A ta kobieta... dajmy wreszcie już pokój im wszystkim!

Zapomnieliśmy nadmienić, że „Promieniem" staje się dla Raduskiego sierota pozostała po tych dwojgu ludziach.

S.

VIOLA.

Urywki z pamiętnika artysty.

...Szary świt zimowy... pierwsze zaledwie, blade, słabe promienie światła wnikają w pomrokę nocną... Śnieg przypadł puszysty, głęboki, biały... w tej pościeli śniegowej ziemia zda się spać jeszcze błogim, dobrym snem. Śpią wysokie, gałęziste topole, snać ciepło im w tych puchach białych. Senne wrony głowy pochowały pod skrzydła; pióra ich przyprószył śnieg, ale z marzeń nocnych obudzić ich nie zdołał. Śpią ptaki, śpią drzewa, ziemia śpi. Cisza...

Takim pamiętam cię, poranku, któryś był dla mnie wschodem nowego życia, i takim teraz występujesz z pod mego pędzla, szary, mroczny, mistycznych pełen drgnień, mistycznej, niepojętej ciszy. Wspomnieniem idę ku tobie, i kładziesz mi na czoło jak wtedy głębokie, chłodne zadumy, ciszą snów mnie otaczasz, i jak wtedy słyszę głośne bicie własnego serca, i.. płacz ten słyszę straszny, który gnał mnie przez śnieżne pola, gdym z chaty ojcowskiej wczesnym, szarym rankiem uciekał w świat.

Ja jeden nie spałem! Mnie przed świtaniem zbudził potężny głos życia. On szałów dziecinnych wściekłością, on głośnym wewnętrznym krzykiem oddawna wołał mnie na walki, na bój!...

Porwałem się ze snów dzieciństwa, strząsnąłem z piór śnieżne puchy uczuć dziecięcych i, orlę młode, szeroko rozwinąwszy skrzydła, młodzieńczym lotem poszybowałem w dal

Ale kto, kto płakał tak po mnie owego ranka?! Czy matka, gdy obudziwszy się, zobaczyła puste łóżeczko moje?.. czy siostrzyczka malutka, gdy nigdzie znaleźć nie mogła braciszka?..

A może był to płacz rzeczy niemych? Może to kolebka, co mnie wykołysała, może stara, uboga chata ojcowa?

Zasłoniłem oczy i pędziłem przed siebie, lecz płacz ten nie ustawał... Ha! on potem miesiące całe grał mi w głowie, i teraz jeszcze czasem słyszę go w snach...

Cichy, cichy i słodki był ten ranek ostatni, co w moich oczach wstał ponad rodzinnym domem!

Chciałbym odmalować cię wiernie chato słomą kryta, święta chato moja! Tęsknoty nieznane przedtem wzbierają w mej piersi, i w płacz się zlewają głuchy... Jak ja to wszystko pamiętam, te okienka małe, ten krzyż na rozdrożu, tę lipę spruchniałą!.. Najdrobniejsze szczegóły odradzają się pod mojem okiem. Wszystko, wszystko zmartwychwstało!

Stary nasz, dając nam temat konkursowy „Cisza,” chciał mi się sprzeciwić, chciał mnie upokorzyć. On wie, że moim żywiołem burza, że w duchu moim niema ciszy, ale on nie wie, że była. Była, nim zmącił ją kuszący głos jego, nim krew w żyłach przedwcześnie zakipiała mi warem, nim marzeniami sławy zapłonęła mi głowa.

Znam ciszę spojrzeń — była w łagodnych źrenicach mojej matki; znam ciszę zórz wieczornych—wschodziły krwawe nad moją kołyską; znam ciszę senną szarego świtu równiny śnieżnej—żegnały mnie owego ranka!

Stary Ruskin ani domyśla się, jaką mu ciszę pokażę! Ona puchem śnieżnym przysypie mu niezbielały włos, mgłą snów położy mu się na duszy i uspokoi, jeśli tam co wre dotąd. Jeżeli miał kiedy serce, jeżeli miał kiedy matkę, przyśni mu się, że dzieckiem jest w ramionach jej.

Od ręki rzuciłem kontur. Nie zmienię nic, wszystko jest tak, jak było wtedy... Mam już i senne w mroku rannym ptaki, i ciche śpiące topole przyprószone śniegiem; wszystko niby żywe podnosi się z przeszłości i występuje na płótno. Pędzel mój, czarodziej ożywił to, co dawno już umarło. Cały poemat dzieciństwa mego, wszystko, co odtrąciłem od siebie owego ranka, wszystko to dzisiaj mam... w sercu. Obraz będzie dobry. Maluję z natchnieniem, maluję, a dusza moja śpiewa i płacze.

Raz jeszcze pokażę *staremu*, że nie zawiele *trzymam o sobie!*

Eh! Czyż ja właściwie mam współzawodników?! Satanista jest zdolny, ale to nie dla niego motyw. Marek przy swoim kolorycie jaskrawym i upodobaniu do gigantyczności nie wydobędzie nastroju, jakiego tu potrzeba. Tego idyoty Wolańskiego nie boję się przecież! Kociuba umie pić i grać w karty, ale nie malować! Jedna Viola! Ta dziewczyna ma w sobie tyle ciszy, że tym razem jej jednej mógłbym się obawiać. Ale Viola zrezygnowała, żeby Wolańskiemu ułatwić zwycięztwo! Waryatka! Wolański musi zdobyć nagrodę, bo zakochał się, a jego wdowa, wstrętny okaz kobiety o kurzym mózgu i kocich ruchach, ma ambicyę! Ona nie odda swojej tłustej ręki artyście bez talentu. Wolałbym nie mieć talentu, niż mieć tę rękę! Jej małżonek musi nosić wieniec lauro wy na czole! Gęsiom chce się laurów! Koniec świata! Ach ta Viola!

. . . .

Wspaniałe doprawdy! Ja miałbym rzucić mój obraz, wyrzec się pierwszego promyka sławy, wyrzec się wyjazdu do Paryża, pracy, studyów, dlatego, żeby głupi Wolański mógł wziąść sobie swoją wdowę! A niech ją bierze. Niech ich oboje... On kocha! To istotnie wzruszające! Nie wiedziałem, że tacy kochają! Nie, Viola jest nienormalna!

Przyszła do mnie, jak zwykle cicha, jasna, z pogodą w oczach, z wiązanką bratków przy czarnej sukience—śliczne zjawisko! Przyszła prosić, żebym się wycofał z konkursu, bo wtedy nasz *Filister* Wolański napewno weźmie nagrodę. A wierzę!

— Violo, ty masz gorączkę!

— Nie, nie! Ty ustąpisz, prawda? Czem dla ciebie ta nagroda?.. Będziesz brał inne, większe. O tobie będzie wiedziała Europa, świat cały! Ludzie genialni powinni, mogą być wspaniałomyślni. Ty jesteś wielki, on— mały... orle mój, miej litość nad wróblem szarym! Tobie życie da sławę, uwielbienie tłumów; będziesz porywał, działał; on tej jednej kobiety pragnie; ona dla niego szczęściem, niebem, wszystkiem! Nie stawaj mu na drodze!

— Na drodze do wdowy? O nie! Może być spokojny. Ja takiemi drogami nie chodzę,

— Nie żartuj, Gustawie! Gdybyś wiedział w jakiej on gorączce żyje! Biedny chłopak, nie ma wielkich zdolności, ale to dobre, poczciwe stworzenie. Dziś był u mnie, i wiesz, rozpłakał się, usłyszawszy, że stajesz do konkursu. Żal mi go się zrobiło, bo nie mówił nic, tylko nagle po tej jego pełnej, dobrodusznej twarzy zaczęły mu płynąć grube krople łez. Doprawdy tyle tam było bólu... nie, ty śmiejesz się Gustawie.

— Ależ Violo, fatalny z ciebie obrońca! Co ty wygadujesz, carissima! Widzę tego grubasa rozpłakanego, rozlazwionego... Komizm, wspaniały komizm! a ty śpiewasz elegie. Wiesz, że ty się stajesz sentymentalna. To są dzieciństwa! Ja mam ustępować, odkładać mój wyjazd, tracić czas, dla tego żeby pulchna pani Krokoszyńska — bo ona się nazywa Krokoszyńska, prawda?—żeby taka pani mogła pochwalić się sławnym mężem przed swojemi kumoszkami. A wiesz, że to jest idea!

— Za pół roku Ruskin ogłosi znowu konkurs. Temat dla ciebie — „burza.” Wtedy pokonasz nas wszystkich, i polecisz w świat. Chwilę jeszcze—krótką chwilę pozostań z nami!

— Pokonam teraz! Pokonam wbrew chęci starego, wbrew naturze mego talentu, tobie i całemu światu wbrew! Ty nie masz temperamentu artystycznego, ty nie rozumiesz zupełnie czem jest pragnienie sławy. Idę przed siebie i łamię wszystko, co na drodze mojej staje. Ha! jabym z niej świętości strącił, jabym może ciebie nawet złamał! Idź, Violo, idź, nie mąć mi ciszy.

Odeszła smutna, ale nie zgnębiona. Ma widać jeszcze nadzieję. To jeden ze znamiennych rysów jej charakteru. Niema dla niej spraw straconych, a właściwie ona tylko te stracone kocha, i czepia się ich z fanatycznym optymizmem. Gdyby wiara mogła wskrzeszać, Viola wskrzeszałaby umarłych.

Jeden z ciemno fiołkowych bratków odczepił się od jej sukni. Podniosłem go, trzymam w ręku, będę teraz myślał o niej i ducha mego otulą cisze.

Przezwaliśmy ją Violą, bo jej ideą, jej religią raczej, jest braterstwo ludzi (sprawa dawno przegrana), bo wszystkim nam była siostrą dobrą, bo ulubionym jej kwiatem-symbolem jest bratek trójbarwny.

. . . .

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

KRONIKA.

Odznaczenia naukowe i zapomogi.

Komitet kasy imienia Mianowskiego na posiedzeniu z dnia 23 Października, po rozpatrzeniu prac z dziedziny historyi, literatury i języka polskiego nadesłanych do rozstrzygnięcia w drodze konkursu z zapisu ś. p. Zenona Pileckiego, przyznał profesorowi A. A. Kryńskiemu nagrodę w ilości rs. 750 za gramatykę języka polskiego.

Oddział sądowy Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności ma w zawiadywaniu swojem fundusze, od których procenta obracane bywają na kształcenie dzieci po zmarłych urzędnikach, liczących się do Okręgu warszawskiej Izby Sądowej. Prawo do korzystania z tych zapomóg ma młodzież uczęszczająca do Uniwersytetu warszawskiego, bez względu na wydział. Obecnie prezes zarządu tej kasy zwrócił się do inspektora studentów o przedstawienie listy kandydatów, odpowiadających warunkom określonym w ustawie, ci zatem, którzy o zapomogi ubiegać się pragną, winni podania odpowiednie składać w inspekcyi Uniwersytetu.

Podobnie jak co rok, złożył obecnie p. Wilhelm Rau przemysłowiec tutejszy na ręce p. I. Smolikowskiej kierowniczki kursów handlowych dla kobiet, sumę rs 1 000 pozostawiając do jej uznania rozdawnictwo między potrzebujące pomocy pieniężnej uczennice.

Dobroczynność.

Ociemniali pragnący korzystać ze wsparcia fundacyi Karoliny i Janusza małżonków Roztworowskich, winni złożyć dowody niezamożności i zaświadczenia Instytutu oftalmicznego warszawskiego w magistracie tutejszym do dnia 23 Grudnia r. b., na imię zarządzającego fundacyą wymienioną. Wsparcia wypłacane będą 28 Stycznia 1899 r.

Wydział wsparć Towarzystwa Dobroczynności przyznał następujące zasiłki naukowe: rs. 60 uczniowi gimnazyum z zapisu ś. p. Augustynowicza i rs. 75 uczennicy pensyonatu p. Radeckiej z zapisu ś. p. Chodorowskiego. Oprócz tego postanowił wydział wypłacić 11-tu uczniom szkoły rzemiosł zapomogi z zapisu ś. p. Rapackiej — 10-ciu wdowom po rs. 10—3 nauczycielom po rs. 12 i dwom szwaczkom po rs. 4 kop. 50. Nadesłane przez ks. Sanguszkę ze Sławuty rubli 50 rozdzielono między 23 ubogich.

W dniu 28 Października r. b. członkowie zarządu Towarzystwa Dobroczynności wraz z komitetem pomnikowym, zebrali się w kościele Opieki św. Józefa (po Wizytkowskim) celem obrania miejsca na pomnik Jędrzeja Śniadeckiego, którego wzniesienie między warunkami zapisu zastrzegł Towarzystwu ś. p. Ignacy Orzechowski. To też instytucya dobroczynna zamówiła ten pomnik u artysty rzeźbiarza p. Piusa Welońskiego, i po wykończeniu wizerunku znakomitego uczonego naszego na tablicy bronzowej, w wypukłej płaskorzeźbie, przystąpiła do obioru w kościele odpowiedniego miejsca na wmurowanie tablicy. Napis pomnikowy brzmi: „Jędrzejowi Śniadeckiemu urodzonemu r. 1768 badaczowi przyrody, profesorowi Uniwersytetu Wileńskiego † 1838. W wykonaniu zapisu ostatniej woli jego ucznia dr. Ignacego Orzechowskiego, pamiątkę tę kładzie Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności MDCCCLXXXXVIII."

Z posiedzeń instytucyi.

W dniu 28 Października na zebraniu kwartalnem w zarządzie Schronienia nauczycielek odczytano sprawozdanie z czynności Towarzystwa za ubiegły trzymiesięczny termin, z którego dowiadujemy się, że w tym okresie czasu dochody wynosiły rs. 5,361, a wydatki 3 037, wskutek czego przewaga w stanie czynnym stanowiąca rs. 2,323 przeniesioną została na rachunek potrzeb ostatniego kwartału roku bieżącego. Przez powyższych miesięcy trzy przebywało w schronieniu ogółem osób 270. Co do przyszłej własnej siedziby stowarzyszenia, o której mowa jest od tak dawna, to postąpiła ona o tyle, że upoważniony ad hoc komitet nabył przy rogu ulicy Wiślanej i Lipowej plac za umówioną summę rs. 40,000. Budowniczy Szyller przygotować ma przez zimę plany, a z wiosną rozpocznie się podobno budowa domu.

Czy odpowiedniem jest jednakże pomieszczenie Schronienia w dzielnicy nadwiślańskiej, która nietylko że jest pod względem zdrowotności jedną z ostatnich w Warszawie, ale ma nadto jeszcze tę największą wadę, że w pewnych miesiącach zimowych jest prawie odciętą od komunikacyi z miastem. Gołoledź na ulicach prowadzących od Krakowskiego Przedmieścia ku Wiśle, dla gwałtownego bardzo spadku, nie dla każdego jest możebną do przebycia, a trzeba pamiętać, że w Schronieniu mieścić się mają nietylko pensyonarki stałe, ale i ten żywioł przechodni, przypływowy i odpływowy, któremu na stosunkach ze światem wiele bardzo zależy. Pojmujemy wszystkie argumenty, które przemawiały za dzielnicą odleglejszą, a między nimi dwa najważniejsze, mianowicie: szczupłość funduszu i drożyznę placów obecną, ale jeżeli wynikiem ostatecznym ma być aż tak ważny szkopuł dla pomyślnego biegu spraw instytucyi i usług, jakich od niej spodziewa się ogół, to trzeba będzie przyznać, że osadzenie Schronienia na takiem wygnaniu, jakie stanowi zbieg ulic Wiślanej i Lipowej, nie odpowiada oczekiwaniom wielu interesowanych.

W dniu 28 Października przystąpiono w komitecie giełdowym do utworzenia komisyi, której przeznaczeniem będzie popieranie i ułatwianie przemysłowcom i rękodzielnikom ich udziału w zbliżającej się międzynarodowej wystawie paryzkiej r. 1900. Po odbytem głosowaniu przekonano się, że wybranymi zostali do komisyi wystawowej w liczbie dwunastu: pp. Mieczysław Epstein, Józef Juszczyk, Grzegorz Łapiński, Władysław Kiślański, Bernard Handtke, Zygmunt br. Rzyszczewski, Henryk Marconi, Józef Rzętkowski, Jan Szlenkier, Józef Rentel, Stanisław Kropiwnicki i Julian Fraget. Prezydującym obrano p. Mieczysława Epsteina. Niebawem zawiązana świeżo komisya zabierze się do rozpoczęcia prac przygotowawczych; sekretarzem jej mianowano p. Józefa Włoskiewicza sekretarza komitetu giełdowego.

Wskazówki i rady.

Paszteciki ze szpikiem (nowość).

Wczorajszy chlebek angielski lub długą bułkę okroić ze skórki i pokrajać na kawałki najmniej cal grubości, w środku naciąć tylko nożem kwadrat duży, tak, aby można tam włożyć kawałek szpiku. Na patelnię wziąść kawałek masła, w gotujące wrzucić bułki; smażą je bardzo szybko, co się zowie „tam i napowrót," czyli że odsmażone na blado z jednej strony, przewrócić szybko na drugą stronę. Gdy się tak z obu stron obsmażą i wystudzą, wyciąć ostrożnie nożem owe nadkrajane kwadraciki bułki, wyjmując je jak można najgłębiej. Osobno „zblanżerować," to znaczy odgotować: krótko gotując w zimnej wodzie z solą, grube kawały szpiku, które można bez kości gotować lub z kością, i zaraz póki gorące wyrzucić z kości. Gdy ten szpik ostygnie, pokrajać go na kawałki długości cala, i w każdy otwór grzanki włożyć jeden kawałek równo z bułką, tak, aby szpik nie wystawał. Gdy się ma już wazę dawać na stół, wstawić na chwilkę ułożone na blasze grzanki ze szpikiem dla rozgrzania do pieca. Oddzielnie usmażyć na fryturze gałązki zielonej pietruszki, rzucając je na gorącą bardzo, a w jednej chwili chrupać zacznie, posypać nią na półmisku grzanki.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani W. S. Kolor toalety wizytowej jest dowolny; do wizyt poślubnych nie obowiązuje jak niegdyś czarna jedwabna suknia. Piękny kostyum wełniany jest dostateczny—zresztą zależy to od wieku i położenia majątkowego. Co do futra: baranki, zacząwszy od najdroższych gatunków, wydry, bobry, foki, chinchile, tumaki, sobole — moda każe łączyć dwa gatunki w okryciu lub kołnierzu.

Pani H. M. D. Sukno kraje się we wszystkich częściach kostyumu włosem do dołu — ale przedewszystkiem powinno być dekatyzowane. Jeżeli nie jest, to trzeba prasować go między dwoma mokremi prześcieradłami.

Stałej prenumeratorce K. Rośliny w ilości przez Sz. Panią wskazanej, nie powinny być trzymane w pokoju sypialnym dzieci, a to przedewszystkiem ze względu na wilgoć i pleśń powstającą wskutek podlewania.

Prenumeratorce z Sosnowca. Firma Herse odpowiedziała nam, że przyjmuje tylko uzdolnione pracownice, gdy zachodzi potrzeba.

SPROSTOWANIE.

W Nr. 44, str. 437 szpalta II wiersz 7 od góry: zamiast: Jużciż to nie są ci — czytaj: Jużciż to nie ci.

Str. 436, szpalta III wiersz ostatni od dołu. Zamiast: tego ciężarem — czytaj: tego ciężaru.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modamir, akusz z krojami i Panoramę Mód.

Przedmioty Gospodarstwa Domowego
Jerozolimska 72

MAGAZYN „METROPOL"

Sprzedaż za gotówkę i NA RATY od 30 kop. tygodniowo
Jerozolimska 72 766—50-48

TOWARZYSTWO AKCYJNE

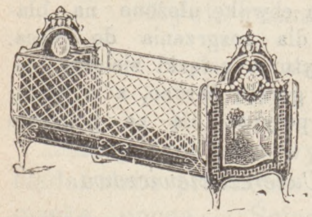
WŁ. GOSTYŃSKI i S-KA

Skład fabryczny: Wierzbowa 3.

FABRYKA WYROBÓW ŻELAZNYCH

WARSZAWA, Mokotowska Nr. 3.

Filje: w Łodzi: Piotrkowska 81
w Moskwie: Rożdiestwienka, dom Tretjakowych.





POSIADA NA SKŁADZIE W WIELKIM WYBORZE:

MEBLE ŻELAZNE wszelkiego rodzaju: ogrodowe, domowe, szkolne, szpitalne i dla sal chirurgicznych; **Wózki i Welocypedy dziecinne;** Łóżka systemu angielskiego i wiedeńskiego. **Konstrukcye Żelazne:** mosty, wiązania dachowe, oranżerye i t. p., **okna, drzwi, bramy, kraty, balkony,** schody wszelkich konstrukcyi, okiennice składane patentowane. **Wagony Pasażerskie i Towarowe** dla dróg żelaznych podjazdowych. **Kolejki wązkotorowe:** stałe i przenośne oraz wagonetki i taczki wszelkich typów; **Narzędzia kolejowe. Lewary. Slusarstwo ozdobne i Stylowe:** okucia, świeczniki, latarnie, pomniki, żyrandole. **Wyroby blacharskie i kotlarskie:** wanny, piecyki, prysznice, lodownie pokojowe, kubły, klozety, rezerwoary. **Odlewy żelazne,** drzwiczki hermetyczne do pieców. Ruszty. **Prasy do kopjowania. URZĄDZENIA STAJEN i ŁAŹNI.**

CENNIKI NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE. 901—24—12

Gabinet-dentystyczny.

ze specyalną pracownią do wstawiania
ZĘBÓW SZTUCZNYCH
od 1 do 10 rub. za sztukę
818-52-35 **przyjęcie od 9 do 6:**
Chmielna N-r 16. m. 4.

K. M. Schröder

Nowy Świat 24.
Skład fortepianów i pianin.
Wynajem i sprzedaż na raty.
Telefon 1288. **Cenniki gratis i franco.**
944—52—13

„PRIMUS"

Kuchenki naftowo - gazowe palące się ***bez knota***, nie wydzielając odoru i kopcia.

Sprzedaż u
Ed. Dusoge
Nowy Świat 5.
Cenniki gratis i franco. 945—25—12

Specyalna Pracownia
Okryć Damskich i Wierzchów do Futer
oraz przyjmuje wszelkie obstalunki
po cenach umiarkowanych

D. SOŁOWIEJ

Warszawa, ulica Bielańska № 19, mieszkania 3.
969—12—8

ZAKŁAD LECZNICZY
dla chorych dotkniętych zboczeniami mowy (**niemota, bełkotanie, mowa nosowa jąkanie** i. t. p

D-ra OŁTUSZEWSKIEGO

w Warszawie Marszałkowska 67.

W zakładzie znajdują również pomieszczenie i kuracyę dzieci ze zboczeniami mowy **upośledzone umysłowo.** 998-6-3

NOWY ZARZĄD
CZYTELNIA DLA KOBIET
Warecka 9.

Stale zaopatruje z nowości wszystkie działy. Bogaty dobór dzieł poważnych oraz klasycznych w 5 językach. Dla abonentek bez dopłaty 18 czasopism w 4 językach. Abonament miesięcznie **40** kop. 817—32—16
Wysyłka na prowincyę.

REKOMENDACYA SŁUŻBY.

Obecnie otworzyłem Kantor Kaucyonowany Rekomendacyjny Służby, pod swoją firmą **Krakowskie-Przedmieście i róg Podwala Nr 91 bez wpisowego** a to dla udogodnienia Sz. Państwu. Będę się starał zasłużyć na względy jak w latach poprzednich. Z Szacunkiem.
820-12-11 **S. Karasiewicz.**

Wydawnictwo ***GEBTHNERA i WOLFFA*** w Warszawie.

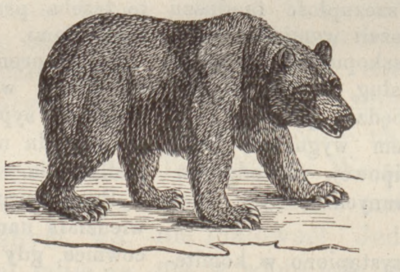
Wyszła z druku

HISTORYA LITERATURY POWSZECHNEJ

przez **Walerego Gostomskiego.**

2 duże tomy, str. 393 i 727. — Cena rs. 5, z przesyłką rs. 6.
W oprawie Rs. 6, w ozdobniejszej Rs. 6, 50.

„Historya Literatury Powszechnej" opracowana na podstawie najlepszych i najnowszych źródeł oraz **studyów samodzielnych,** zawiera bogaty **materyał informacyjny** co do faktów, dzieł i osobistości pisarzy; **ogólną charakterystykę** najgłówniejszych prądów i wpływów, które urabiały i odznaczały dane epoki literackie i przedstawia **dokładny obraz literatury wszystkich ludów cywilizowanych,** od najdawniejszych czasów aż do chwili obecnej. 1007-3-1



Skóry z Dzików, Lisów, Jeleni, Żubrów i t. d. na futra i na dywany wyprawia miękko, czysto i trwale zabezpieczające je od moli

ZAKŁAD
Konstantego Lewandowskiego

w Warszawie, ul. Obożna № 4.

Wyprawia także skóry z Łabędzi, Kaczek i Gęsi. Odczyszcza wszelkie skóry, doprowadzając je do pierwszej czystości i miękkości. 871—15—10

Nagrodzony najwyższemi nagrodami na wszystkich wystawach
ZAKŁAD ORTOPEDYCZNY
MAURYCEGO ERLICHA
899-24-2
ucznia **Mathieugo** w Paryżu, prostowanie wszelkich skrzywień kostnych stosowanemi aparatami za wskazówką pp. lekarzy. Zakład egzystuje przeszło lat dwadzieścia i powołuje się na najpierwsze miejscowe powagi lekarskie. **Warecka 10.**

Dozwolone przez Władzę Lekarską

na ogólnych zasadach handlu

Délice (Delis)

Wynalazek Towarzystwa Przemysłowego przetworów Chemicznych w Paryżu Compagnie Industrielle de produits chimique á Paris). Zbiór roślin Alpejskich, służących do domowego wyrabiania francuzkich likierów żółtego i zielonego **„Chartreuse"** et **„Benedictine"** pod względem smaku, zapachu i koloru w niczem nie ustępujących likierom wyrabianym we Francyi. Butelka likieru z roślin **Delice** wynosi od 75 do 90 kop., gdy tymczasem butelka fabrycznego likieru francuzkiego kosztuje od rs. 5 do 7. Cena jednego pudełka „Délice" bez kosztów przesyłki kop. 50, przy zamówieniach nie mniej niż 10 pudełek koszta przesyłki się nie liczą i zamówienia wysyłają się za zaliczeniem. Sposób użycia znajduje się przy każdem pudełku. Miejsce sprzedaży w Warszawie przy ul. S-to Jerskiej nr. 28 u Ch. Kamienomostskiego, do którego zechcą się zgłosić osoby, któreby pragnęły mieć wyłączną sprzedaż w pewnych rajonach. Można również dostać „Delice" we wszystkich znaczniejszych zakładach aptekarskich i gastronomicznych.
900—10—6

Nie przepłacać obuwia!



MAGAZYN OBUWIA
Męzkiego, Damskiego i Dziecinnego
DYONIZEGO NOWISZEWSKIEGO
ul. Marszałkowska 117, w Warszawie
firma Egz. od 1863 r.
Sklep w podwórzu naprzeciwko Magazynu **Żyrardowskiego.**
P.p. **Studentom Uuiwersytetu, Politechniki, Uczniom Gimnaz.** i innym zakładom naukowym **10%** 1006-4-1

Nie przepłacać obuwia!

F. Pierzchalski

MAZOWIECKA 8
SKŁAD SZKŁA
krajowego i zagranicznego
WYBÓR DUŻY.
CENY PRZYSTĘPNE.
Własna Malarnia Porcelany.
Ogromny wybór przedmiotów do upiększenia.
967-10-8

Była Nauczycielka

przyjmuje na stancyę kształcące się panienki w różnych zakładach naukowych. 923- -
Fortepian na miejscu. Cena nizka.
Złota 36—33.

SZKOŁA KROJU
systemem WORTH'A
M. Bronisławy Tuszowskiej
Wyucza kroju w najkrótszym czasie najdokładniej za rs. **10,** oraz przyjmuje wszelkie roboty w zakres garderoby damskiej i dziecinnej wchodzące. Wykończenie akuratne. Ceny najprzystępniejsze. 983—6—6
Żórawia 23, m. 25, parter.

Okulary, Binokle i Lornetki od rs. 1. **Pasy brzuszne i Bandaże rupturowe** sprężynowe, gumowe, lekkie i nietamujące ruchów ciała od rs. 2. **Opaski hygieniczne** damskie ulepszone po kop. 40, 75 i rs. 1. Obstalunki listowne uskuteczniam bezzwłocznie. 868-40-14
Michał Pik, optyk mech. m. Warsz.
Warszawa, ulica Miodowa nr. 1.

MAGAZYN MÓD
i Pracownia Kwiatów Sztucznych
podług modeli Paryzkich 902—24—13
A. OJRZANOWSKIEJ
w Warszawie, Rymarska Nr. 2.
Poleca na każden sezon kwiaty, girlandy ślubne oraz wielki wybór kapeluszy gotowych. Przyjmuje wszelkie obstalunki. Ceny umiarkowane.

DENTYSTA CHWAT
Królewska 29.
Specyalność: Leczenie i plombowanie zębów — **Zęby sztuczne** od 9-ej do 11-ej rano wyjmowanie chorych zębów pod **Chloroformem** w obecności lekarza. 937-25-13

Po gruntownem odnowieniu i rozszerzeniu interesu.

Specyalna Pracownia i Magazyn BIELIZNY Męzkiej, Damskiej i Dziecinnej! E. Z. ANUSZEWSKIEJ

Marszałkowska 91.

Poleca **Bieliznę** własnego wyrobu odznaczającą się wyborowym **krojem, trwałością i nizkiemi cenami,** przyjmuje zamówienia na całkowite wyprawy z własnych i powierzonych materyałów. 1005—12—1

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

— Bynajmniej, takie jest moje sumienne przekonanie. Co do pojedynków, nietylko, że się w nie nie mięszam — jak słusznie mówi pan Dzierzbiński, ale nadto uważam je za szaleństwo, które szalona zniewaga i szalona zemsta mogą tylko usprawiedliwić. Szanuję atoli każdego zdanie. Pan major czuje się obrażonym, wzywa mnie na świadka—uczucie własnej godności nie pozwala odmawiać. Wdzięczen jestem za zaszczyt, jaki mi czyni, odzywając się do moich usług. Służę Panu...

Niemiec uścisnął mu rękę.

— Na honor! — zawołał Juliusz, dotknięty do żywego, oddawna nie słyszałem równie pięknego kazania. Z takiem usposobieniem nie popróżnujesz pan w Galicyi. Siła między nami zbłąkanych owieczek, siła zgorszenia'...

— Niepotrzebnie wspominasz pan o zgorszeniu, same jego słowa w tej chwili aż nadto wyraźnie mi go dowodzą.

Juljusz pobladł, twarz zaszła mu żółcią.

— Dalej, dalej!... — szepnął Skałka — chodźmy!... zostaw tego obywatela, to filozof, Dyogenes; poślemy mu w podarunku honorową latarnię.

— A ja mu ognia w niej skrzeszę — dodał Wilczek półgłosem.

— Panowie — rzekł kapitan, wskazując niedalekie krzaki brzeziny — nie mamy czasu do stracenia.

Podróżni oddalili się ku zaroślom, i stanęli wkrótce w miejscu zewsząd przed ludźmi zakrytem.

Rzucono pieniądz; los padł na pistolety oficera.

Pojedynek miał odbyć się do baryery.

O cztery kroki od siebie utkwiono dwie gałęzie; po obu stronach mety odmierzono po dziesięć kroków.

— Władziu, zaklinam cię — rzekł Skałka stłumionym głosem — nie strzelaj pierwszy. Niech dyabli porwą i Lewickich z ich balem, i tę godzinę, w którą tu przyjechaliśmy. Władziu, daj mi słowo, że nie strzelisz pierwszy!

— Uspokój się — odparł Wilczek z pogodnym uśmiechem — przecież nie pierwszy raz wychodzim na podobne polowanie. Dziś zapolujemy na drapieżne ptaki. Widzisz u guzika pana Majora, wstążeczkę czerwonego Orła? Przypatrz się dobrze, abyś po wystrzale znalazł jej miejsce.

Niemiec stał już na mecie wyciągnięty po wojskowemu. Przyzwyczajony snać do lewej ręki, podniósł ją do góry, skroń zasłonił pistoletem, i zwolna, metodycznie, zamierzał posuwać się naprzód.

Wilczek poskoczył na miejsce, ale zamiast naśladować przeciwnika, stanął jak skamieniały, wyciągnął rękę i zmierzył.

Juljusz odwrócił się; Skałka zmrużył oczy.

Wystrzał rozległ się po okolicy.

Wilczek wydmuchnął pistolet, podszedł ku mecie, oparł się jedną ręką o gałąź, drugą szeroko roztworzył, jakby dla przyjęcia odpowiedzi,

Niemiec opuścił broń, tłoczył pierś prawą dłonią, oczy w słup zataczał, chciał naprzód postąpić — upadł; zebrawszy wreszcie siły, podniósł się na jedno kolano, wodził drżącą lufą po przeciwniku, i wystrzelił.

Kula świsnęła Wilczkowi nad głową.

Wszyscy poskoczyli ku rannemu; krew z piersi buchała mu obficie, orderowej wstążeczki nie było ani śladu; widno uwięzła w ranie.

Kazimierz przykląkł, wsparł oficera na sobie, chustką ubieg życia mu tamował.

— Nieszczęsny wypadek!—zawołał Skałka—szatan nas przyniósł na tę przeklętą pocztę! Trzeba go przenieść. Dalej! — weźmiemy się we trzech!

Juljusz zawinął rękawy.

Niemiec otworzył oczy, spojrzał po obecnych; widząc, że się doń zabierano, machnął ręką na znak przeczenia, i objął Kazimierza za szyję.

— Dajcie mu panowie pokój! — rzekł z gniewem ostatni. Widzicie, że odpycha szaloną dłoń, dla której igraszką pierwsze lepsze życie. Ja sam się nim zajmę; ja przynajmniej nie obawiam się go upuścić—we krwi się nie pośliznę.

Przy tych słowach, krzepkiemi ramiony ujął rannego wpół, złożył go troskliwie na rękach, i jak zwaryowany spieszył z nim ku gospodzie.

Wilczek wzrok w ziemię utopił; nie mógł oderwać oczu od krwawych plam, od kropel krwi kołyszących się na zielu. Słuchał, ale nie słyszał gorzkich wyrzutów Poraja, patrzył, ale nie widział, tonął w odmęcie myśli, ale nie myślał.

Towarzysze jego stali pogrążeni w dumaniach; rzekłbyś, że zaklęte potęgi przykuwały ich do miejsca.

Juljusz pierwszy ocknął się i przerwał milczenie.

— Stało się!—zawołał, klaszcząc w dłonie—nie ma o czem myśleć. Tak dobrze on ciebie, jak ty jego mogłeś trafić. Przypadek i nic więcej.

Wilczek przesunął rękę po czole, rozpogodził oblicze, zawstydzony nieco i lękający się, aby chwilowe zamyślenie nie otworzyło pola posądzeniom go o śmieszne uczucie żalu—o romansowość.

— Piękny mi przypadek — rzekł Skałka — o dwadzieścia pięć kroków, z nieznajomego pistoletu wpędzić w ciało naprzód oznaczoną wstążeczkę. Uniżony sługa, mój Władziu, bądź pewny, że strzelać się z tobą nigdy nie będę.

— Niemiec, zapewne toż samo powtarza — wtrącił Juljusz — jeżeli tylko doniósł go żywcem nasz Smorgoński akademik.

— Młodzik nie w porę zjechał do Galicyi; mógł był sobie w Rzymie pozostać. Prawi jak z książki, za rok byłby wystrychnął się na kardynała. Żal mi go! będzie musiał na nowo u nas rozpocząć nauki.

— Nie troszcz się o niego, kapitanie — rzekł Wilczek zupełnie rozweselony — młody, ma czas przed sobą; wreszcie nie zabraknie mu na nauczycielach.

— Zapewne!... mógł się o tem przekonać z dzisiejszego strzału. Co mówisz, Juljuszu?

— Szczególniejszy panicz! bodzie językiem jak rogiem.

— Nie radzę mu zbytecznie się szastać, jeżeli chce, aby mu nie przycięli pierwszego, a nie stępili drugich — ciągnął zwolna Wilczek, wpatrując się w zegarek. — Wyszliśmy o samej dwunastej, jest teraz dwadzieścia minut na pierwszą; mieliśmy dwie godzin czekać na konie, spieszmy! zyskaliśmy przeszło półtory godziny. Staniemy na czas we Lwowie.

— Prawda! do stu granatów!... — mówił Skałka z wymuszonym śmiechem — zapomniałem o koniach, o naszej zdobyczy. Pan major cierpliwiej teraz poczeka. Dotrzymałeś słowa, Władziu, nam i i tej, której obiecałeś pierwszego mazura; nie spóźnimy się na bal.

Wilczek roześmiał się, ruszył ramionami, i wszyscy trzej podążyli ku poczcie.

W gospodzie, Kazimierz przeniósł rannego do osobnej izby, złożył na łóżku, zajął się usługami, jakie wskazywały mu doświadczenie lub wiedza.

Rozpiął na nim odzienie, wodą i octem okładał ranę, na własną nawet odpowiedzialność, z ramienia krwi mu upuścił.

Odprzężono od bryczki najdzielniejszego konia, jedną z trzech przyczyn nieszczęsnej walki; pocztyljon, co duchu poskoczył do pobliskiego miasteczka po lekarza.

Oficer długo leżał jak martwy; po upuszczeniu dopiero krwi podniósł powieki, zakołował błędnym wzrokiem, poznał Kazimierza i wyciągnął ku niemu bezsilną dłoń.

Zaimprowizowany chirurg gestem nakazał mu spokojność, i dalej w milczeniu ciągnął swoje starania.

Po dwóch przeszło godzinach przyjechał lekarz. Obejrzał ranę. Kula głęboko utkwiła tuż nad sercem i co gorsza, wpędziła z sobą cząstki sukna, a zapewne i nieszczęsnej wstążeczki. Chory wymagał dzielnej pomocy i jak najbieglejszych środków sztuki.

Lekarz, dawny znajomy Porajów, przyrzekł na chwilę go nie opuszczać, nie szczędzić zachodów i starań; za skutek atoli nie zaręczał.

Kazimierz, w razie nieszczęścia, przyjął na siebie wszelkie wydatki, kilkakrotnie powtórzył, aby ich nie szczędzono i w potrzebie posłano, czy to po chirurga, czy po drugiego lekarza. Następnie widząc, że obecność jego za mało mogła choremu się przydać, z e ściśnionem sercem ruszył ku Lwowu.

W stolicy połączonych królestw Galicyi Lodomeryi gębata sława uwijała się po ulicach i domach, z wieścią o rycerskiej przygodzie Wilczka.

Młodzież kupiła się koło bohatera, wynosiła pod niebiosa zręczność, odwagę, z jaką przywódca jej umiał zmuszać do respektu Niemców.

Nazajutrz po balu u Lewickich, patryoci wydali Wilczkowi huczne śniadanie. Patryotyzm, jak się przekonywamy, po swojemu rozumiano i nie tanim opędzano kosztem. Pito do upadłego. Polowanie na czerwonego Orła, podało treść do głównych toastów.

Skałka i Juljusz nie mogli opędzić się ciekawcom. Oto, po sto razy musieli opowiadać też same wypadki. Szczęściem, kapitan miał żywą wyobraźnię; za każdym razem niektóre szczegóły odmieniał, inne pomijał, nowe dodawał. Przy końcu nawet śniadania tak dalece był się zapomniał, że przez chwilę trafny strzał zaczął sobie przypisywać.

Zbłąkany język zwrócono miłosiernie na drogę prawdy.

Towarzystwo atoli, w ocenieniu przygody, o ile można, unikało stronności. O Niemcu mówiono, że tęgo się spisał, zwłaszcza jak na Szwaba; przeciw Kazimierzowi natomiast, zewsząd wznosiły się głosy oburzenia. Skałka oskarżał go o rozjątrzenie zajścia—o pogardliwe uśmiechy, jakie z kolei rzucał na zwaśnionych. Juljusz, cieniem własnej niechęci barwił zlekka słowa Poraja, wydrwiwał napuszone morałami jego odpowiedzi, litościwie przytaczał zdanie, że pojedynek jest szaleństwem, tajemniczo wspominał o łatwości, z jaką Prusak, Niemiec, doszukał się obrońcy i świadka.

Obecni starali się oczyścić prawdę z tumanu dodatków. Każdy własnemi uwagami dopełniał i wyjaśniał sąd o Poraju.

Pan Kazimierz dziwny w istocie był człowiek. Na publicznych zabawach trzymał się na uboczu; zgromadzeń, obiadów, pohulanek młodzieży unikał; znalazłszy się przypadkiem na śniadaniu u Miera, dwa razy toastu „Kochajmy się" odmówił. Nie było wątpienia: gardził swoimi.

Jedynymi obojętnikami tak na rycerskie dzieła Wilczka, jako też na zatajone nieprawości Poraja, byli ludzie zabrnięci w rzeczywistość, nie mający czasu oddawać się fraszkom, a których w tej chwili inny wypadek w osłupienie wprowadzał.

Sokolnik zjechał do Lwowa, i zamiast poledz pod ciosami licznych wierzycieli, wystawiał na świat weselsze, zuchwalsze, niż kiedykolwiek oblicze.

Magnat, ze spiknionymi na jego zgubę, odegrał szczególną komedyę.

Pierwszego dnia po przyjeździe, wyszedł na ulicę z twarzą srodze zakłopotaną; widocznie znękany przyjął u siebie jednych, odwiedził sam drugich rewersowych napastników.

Żałowano go, że nie miał w sobie nic gladyatorskiego, że z godnością umrzeć nie umiał.

Sokolnik wyjąkał bojaźliwie prośbę o zwłokę, o cierpliwość.

Odpowiedziano mu na nutę zapalczywego chóru bachantek rozdzierających Orfeusza.

Grzmiał zwłaszcza głos Dahlmana.

Bankier urządzał już w myśli przyszłe rozgoszczenie się w majątku, obliczał możebne przedsięwzięcia, poił się nowo nabytem znaczeniem rozległego właściciela, kołysał nadzieją pozyskania tytułu, gdy w tem Sokolnik, wbrew umowie, rozbił mu czarowne sny, kładąc za przyczynę opór żony, która obyczajem heroin wolała raczej zginąć, niż się poddać.

Dahlman zanosił się od gniewu, o zwłoce słyszeć nie chciał; chociażby ze stratą ostatniego grosza należytości, poprzysiągł natychmiast przystąpić do wywłaszczenia.

Inni wierzyciele odeszli, wykrzykując po trzykroć straszne hasło — wywłaszczenie!

Przebrała się miara ich cierpliwości; pozostawały im ostateczne tylko środki, chociaż skądinąd wiedzieli, że publiczna sprzedaż majątku ukrywała się za długim dopiero szeregiem strat, prawnych zwłok, procesowych kosztów.

Sokolnik rozsrożywszy tak całą zgraję iwziął się do pojedyńczych obrotów z każdym poszczególnie z wrogów. Każdemu z osobna pod tajemnicą tłumaczył niekorzystne dla obu stron skutki wywłaszczenia, każdego natarczywie upraszał o zwłokę, aż nareszcie przywiedziony oporem do ostateczności, przyznawał się skrycie do posiadania szczupłego zapasu gotówki, przeklinał innych wierzycieli, temu zaś, którego miał przed oczyma, ofiarowywał korzystny układ.

Gniew za gniew, łaska za łaskę! Kto wlecze przed sąd, ten niech czeka dopóki prawo nie raczy po latach, rzucić mu ogryzioną kość. Przeciwnie — na przyjacielskiej drodze, zgodziwszy się na małoznaczne ofiary, obie strony mogły rzecz ukończyć spiesznie, uczciwie i bez straty.

Wierzyciele, hufcem wprawdzie wyruszali na jednego samotnego wroga, ale wspólny cel wyprawy między szeregami bynajmniej nie rodził wzajemnych uczuć. Każdy widział w towarzyszu jednego z współuczestników w podziale łupów, jedną z przyczyn własnego frasunku, każdy dla ocalenia, pod resztą obozu chętnie byłby ziemię otworzył, każdemu ofiary Sokolnika przedstawiały podwójną rozkosz zostawienia innych w kłopocie, unosząc samemu całkowitą prawie własną należytość.

Człowiek chciwie połyka haczyk, ile razy na końcu wędy spostrzeże przywilej, czyli wyłączną jaką, jemu tylko jednemu właściwą korzyść.

Sokolnik, od świtu do późnej nocy, obiegając z kolei napastników, po kilku dniach pracy, był w stanie ukazać Piotrowi długi regestr układów uwieńczonych nadspodziewanymi zyskami. Apokaliptyczna bestya lichwy zręcznie uchwycona za gardło, oddała część łupu.

W układach atoli, nie było dotąd nic urzędowego. Niektóre strony pozawierały je w przekonaniu, że magnat jeszcze raz nie dotrzyma słowa, że wywłaszczenie swoją drogą nastąpi; przypadek nadto mógł odkryć tajemnicę, i w jednej chwili porozrywać oka biegle zarzuconej siatki.

Trzeba było czemprędzej korzystać z okoliczności.

Piotr dzierżył na pogotowiu znaczne summy swojej gotówki. Magnat wyładował nią powóz, wyjechał z rana na miasto i wrócił wieczorem z pękiem martwych rewersów

Dahlman wpadł w matnię jako i drudzy.

Widok brzęczącej monety, uroczysta obietnica w przeciągu roku wyjednania mu tytułu, pocieszyły go z chybionego kupna i okroiły znaczną część jego roszczeń.

Sokolnik był zbawiony. Z ciemności zatraty, wydostawał się od razu w kraj pełen powietrza i słońca.

Piotr ręczył, że przy umiejętnem zarządzie, dobra magnata w przeciągu sześciu lat z łatwością powrócą mu pożyczkę, i znowu zajaśnieją jako pierwszy na całą Galicyę majątek.

W kilka dopiero tygodni fortel zaczął na jaw wychodzić. Nie pojmowano, gdzie Sokolnik odkrył tak obfite nurty Paktolu. Opatrzyli się wierzyciele, ale za późno! Gniewni i zawstydzeni, że dali się pochwycić w zasadzkę zastawioną przez człowieka na pozór niedoświadczonego w handlowych obrotach, umilkli i pocieszali się wzajemnem jeden drugiego zaślepieniem.

Jeden Dahlman trząsł głową i domyślał się, że dłużnik był tylko narzędziem w dłoni po mistrzowsku wyćwiczonej. Zacisnął usta i czekał, czyje nazwisko wypełznie samotnie na oczyszczoną z tylu innych hypotekę. Czekać zaś musiał chociaż się niecierpliwił, pomimo bowiem poufałej zażyłości, z jaką Sokolnik na wsi go był ugaszczał, od chwili spłacenia długów, bankier mniej śmiele ujmował go pod ramię, nawzajem zaś magnat z partesu nań spoglądał i nie zawsze kazał przyjmować.

Z obawą o niezależność bytu i o skutki haniebnego bankructwa uleciało wiele dawnej uprzejmości i pokory. Skoro tylko Sokolnik upewnił nogę w strzemieniu, wnet wskoczył na grzbiet wielmożniczym obyczajom, rozpuścił cugle, pędził po uwygodnionej mu drodze, tratując jednych, pryskając błotem na drugich, z góry patrząc na wszystkich.

Z niedawnych trosk i niepokojów została mu jedynie pamięć nieprzebaczonego na chwilę braku zaufania w swoją gwiazdę. Wolno było rozpaczać zagonowej szlachcie lub miejskiemu przemyślnictwu; dla tych na jedno wychodziło poślizgnąć się, a upaść w przepaść.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

„PRZEGLĄD FILOZOFICZNY"

TREŚĆ ZESZYTU IV.

Ceny fabryczne stałe.

GŁÓWNY SKŁAD ŻYRARDOWSKI

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście 55.

POLECA NA SEZON JESIENNY I ZIMOWY:

Flanele. Barchany białe i kolorowe. — *Materyały puchowe. Wyroby pończosznicze.*

Kołdry flanelowe, pluszowe i watowane.

Płótna. Ręczniki. Chustki. — Materyały meblowe. — Firanki. Dywany. Portjery.

Bieliznę Damską i Męzką.

Gotowe wyprawy od 100 rubli.

855—8—8

Ceny fabryczne stałe.

SKŁAD ROWERÓW i MASZYN DO SZYCIA ROBERT WILCZYŃSKI

810—50—38 **ceny możliwie umiarkowane.** LESZNO Nr. 12.

SKŁAD MEBLI MAJSTRÓW STOLARSKICH

Marszałkowska 136 róg Ś-to Krzyzkiej 1 piętro.

916—25—17

MAGAZYN MEBLI **A. JÓZEFOWICZA**

Nowy-Świat 28
Filia: Niecała 14

Życzącym Na **RATY.**

741—13—7

A La Parisienne

Szkoła Kroju i Szycia

oraz

Pracownia Sukien

EMILII EHRENKREUTZ

uczennicy Wortha, mistrzyni cechu, z dyplomem paryzkim. Nagrodzona **Medalem** na konkursie krawców w Paryżu za **Krój** bez poprawek i naukę szycia najpraktyczniejszą.

Warszawa, Chmielna 24, pomiędzy Bracką a Marszałkowską.

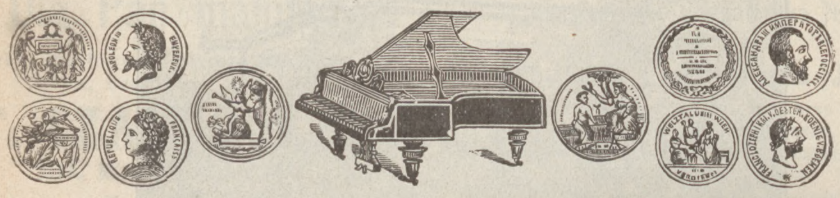
929—26—7

ZAKŁAD TAPICERSKI

A. TELATYCKIEGO,

Hoża № 20, 816—25—20

przyjmuje wszelkie obstalunki w zakres specyalności.



MAŁECKI

Fabryka Fortepianów i Pianin

Jedyna fabryka w kraju nagrodzona medalami na wszystkich wystawach wszechświatowych 864—50—27

17. Krakowskie-Przedmieście 17.

Skład towarów Żelaznych i Naczyń kuchennych **I. WEISSMANN**

938-25-6 Warszawa Graniczna 8.

Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa w Warszawie

WYSZEDŁ Z DRUKU

OBRAZ LITERATURY POLSKIEJ

w streszczeniach i celniejszych wyjątkach,
ułożony przez ***Piotra Chmielowskiego.***

3 duże tomy (str. 594, 498, 504). Cena rs. **8**, z przksyłką rs. **9**, pojedyncze tomy po rs. **3**.

Treść: I. **Okres pierwszy:** Literatura średniowieczna. **Okres drugi:** Świt humanizmu: A. Utwory należące duchem do poprzedniego okresu. B. Utwory w duchu humanistycznym. C. Utwory w języku polskim: a) religijne, b) świeckie. **Okres trzeci:** Rozwój humanizmu i reformacyi. **Okres czwarty:** Czas ściemnienia światła i zepsucia smaku. **Okres piąty:** Czasy reform politycznych i pseudoklasycyzmu.

II. **Okres szósty:** Początek i najświetniejszy rozkwit romantyzmu. a) Rozwój poezyi.

II. **Okres szósty:** b) Rozwój prozy. **Okres siódmy:** Przekwitanie romantyzmu (1850 – 1863). **Okres ósmy:** Czasy realizmu po roku 1863. 1008-3-1



Elegancki złoty garnitur

56-ej próby.

Bransoletę, pierścień, i parę kolczyków, osypanych dokoła amerykań. imitacyjnemi brylantami nieodróżniającemi się ogniem od prawdziwych, po środku imitacja **ametyst, szafir, rubin, szmaragd, topaz** lub **turkus**, jestem w możności sprzedawać, dzięki wielkiemu zbytowi, zamiast po **18** i **20** rs.

tylko za 12 i 15 rub.

Z takąż samą zaś broszką o 3 r. 50 kop. drożej.

Wysyłam w elganckiem atłasowem pudełku (etui) po otrzymaniu **2** rs. zadatku.

Adres: ***M. GOLDENBERG*** Warszawa.

Firma posiada liczne podziękowania piśmienne. 927—25-13

---

62 Nowy-Świat — MAJSTER CECHOWY — Nowy-Świat 62

SZKOŁA KROJU I SZYCIA

Oddawna pożądaną jest szkoła, w której można byłoby znaleść gruntowne wykształcenie tak pod względem wykonania **sukien,** jak również i **okryć.** Osoba która ukończy kurs nauki otrzymuje patent wydawany przez Urząd Starszych Zgromadzenia Krawców w Warszawie. Zapis uczennic, jak również i uczniów, którzy dotychczas rzeczywistej szkoły w tym fachu nie mieli—odbywa się codziennie, oprócz niedziel i świąt. Nauka kroju metodą francuską poprawną. Teorja połączona z praktyką. Kurs kroju sukien i okryć rub. **30** Uczennice zamiejscowe mogą być na stałe. Krawcy i krawcowe płacą połowę Ceny. Wykłady w 4 językach. Wieloletnia praktyka moja w pierwszych firmach zagranicznych, a przeważnie we Francyi, daje mi możność zadowolenia największych wymagań W. Pań klijentek, również gruntownego wykształcenia uczących się. **Przy szkole otwarty magazyn sukien i okryć damskich.** Okrycia wykonywane są przez krawców pod moim kierunkiem. Suknie pod kierunkiem P. K. W. Suknie od rub. **10.**

Tamże nabywać można modele z bibułki

978-10-4

Antoni Warszawski

Krawiec Damski

Sukna, korty wełniane, Materjały damskie, Chustki wełniane, Flanele, Barchany, perkale, Madapolamy i wszelkie inne towary łokciowe w dobrych gatunkach, w wielkim wyborze i po cenach nizkich poleca:

FELIKS JĘDRZEJOWSKI

Nowa-Praga ulica Stołowa N-r 16 A

(na przeciw Bazaru)

Skład mój w sezonach obficie zaopatrzony w nowości swieżych materjałów w gatunkach tylko dobrych i nie drogich. 999-2-2

PIERWSZORZĘDNA SZKOŁA KROJU I SZYCIA

N. TISSERANT

MISTRZYNI CECHOWEJ

Marszałkowska Nr. 51.

Przygotowywa gruntownie na wzór paryzkiej Szkoły **„Moniteur de la mode"** Po ukończeniu nauki i złożeniu egzaminu w Urzędzie Starszych uczennice otrzymują świadectwa cechowe na mistrzynie i podmistrzynie. Przy szkole pensyonat z fortepianem oraz pracownia sukien i okryć.

992—6—2

J. Rautstein

ul. Hr. Berga Nr. 2, róg Krak.-Przed. FABRYKA SZYLDÓW SZKLANNYCH

Poleca ***NOWO-OTWORZONY*** **Skład Szyb i Luster** 956-12-10

Sprzedaż Djamentów
RAMEK do fotografii
„Mora Ständer"
ASEKURACYA SZYB.
